



D. K. Wójcik

Renta zacofania

To nie nauce, lecz transferowi gotowych technologii zawdzięczamy wzrost gospodarczy

Leszek Balcerowicz

Nauka” należy do słów, które powalają na kolana. Któż się oprze na przykład twierdzeniu, że bez nauki jesteśmy skazani na zacofanie albo że więcej nauki to więcej rozwoju. Żadne słowa nie powinny jednak paraliżować naszego trzeźwego sądu. Podstawowe pytanie brzmi: czy wszystko, co jest nazywane nauką, spełnia określone minimalne standardy? Nie ma nauki bez elementarnej rzetelności. Jak wobec tego traktować uniwersytety, na których o przyjęciu na studia decydują znajomości i układy? Dobrze, że ujawnione ostatnio gorszące fakty spotkały się z krytyczną reakcją ze strony rektorów uczelni. Zbyt rzadko środowiska zawodowe w Polsce - i to zaliczane do elit! - występują przeciw swoim członkom, którzy łamią elementarne normy przyzwoitości.

POLSKI ZAŚCIANEK

Nauka jest ze swej istoty globalna. Wynik badań, który nie ma wartości poza granicami kraju, w którym powstał, zwykle w ogóle nie ma wartości. A ile takich rezultatów mamy w Polsce? Ile mamy nauki zaściankowej? Nawet jeśli działalność nazywana „naukową” spełnia określone standardy, to i tak musi podlegać stałej analitycznej ocenie. W naszym niedoskonałym świecie zwiększone nakłady na jeden cel ograniczają możliwości finansowania innych celów, gdzie osiągnięto by może większe efekty. Tam, gdzie idzie o nieuchronnie ograniczone środki, nikt nie ma moralnego prawa do przyjmowania postawy roszczeniowej: to mi się należy, bo moja działalność jest szczególnie ważna, bez jej dofinansowania nastąpi społeczna katastrofa.



Dotyczy to m.in. wydatków na badania i prace rozwojowe (B+R). Niemal obiegową mądrością stała się teza, że wydajemy na ten cel wyjątkowo mało. A jakie są fakty? Otóż w latach 1996-2002 Polska przeznaczala na B+R 0,7 proc. produktu krajowego brutto, Słowacja - 0,6 proc., kraje nadbałtyckie - tyle samo lub mniej niż nasz kraj, Grecja - 0,5 proc., Hiszpa-

nia - 0,9 proc., Węgry - prawie 1 proc., Czechy - 1,3 proc., Niemcy - 2,5 proc., Stany Zjednoczone - 2,8 proc., Finlandia - 3,4 proc. Generalnie kraje wysoko rozwinięte wydawały na B+R średnio 2,3 proc. PKB, a kraje Europy Środkowo-Wschodniej - 0,9 proc. PKB. Czy te drugie odstają pod względem poziomu rozwoju od tych pierwszych dlatego, że wydają znacznie mniej na B+R? Jakkolwiek kuszący może się wydawać ten wniosek, jest on błędny. Kraje słabiej rozwinięte właśnie dlatego, że są zacofane, mogą korzystać na dużo szerszą skalę niż kraje zaawansowane z transferu zagranicznych technologii. To jest swoista renta zacofania. Państwa rozwinięte z racji osiągniętej pozycji muszą bardziej polegać na własnych badaniach (choć i one przyswajają wiedzę z zagranicy).

Wszystkie biedniejsze kraje, które osiągnęły szybki długoterminowy rozwój, adaptowały w szerokim zakresie zagraniczną wiedzę techniczną. Dotyczyło to zarówno Japonii w II połowie XIX wieku, jak i Irlandii w końcówce XX stulecia. Główne mechanizmy przekazu owej wiedzy to import zagranicznych maszyn i dóbr pośrednich, zakup licencji, zagraniczne inwestycje bezpośrednie. Dlatego otwieranie się na zaawansowany technologicznie Zachód było w każdym wypadku niezbędnym warunkiem sukcesu w nadganiu gospodarczego dystansu. Bez tego nie można się stać gospodarczym tygrysem; można natomiast

nim być, wydając - przynajmniej przez pewien czas - stosunkowo niewiele na B+R. Na przykład Tajlandia przeznaczala na ten cel 0,1 proc. PKB, Malezja - 0,4 proc., Chile - 0,5 proc., a zatem mniej niż Polska. Każdy z tych krajów jednak przez dłuższy okres rozwijał się szybciej niż my do tej pory. Irlandia, największy gospodarczy sukces Europy lat 90. ubiegłego wieku, wydawała na B+R nie-

2 x 2 = 4



Nie chciana regionalizacja

Zamiast samorządnych regionów mamy centralizm

Wacław Wilczyński

Bardzo się ucieszyłem z powołania na komisarza unii Danuty Hübner, która będzie się zajmować polityką regionalną. Niemal natychmiast zasępiłem się jednak, zadając sobie pytanie, czy nasza dzielna reprezentantka da sobie radę nie tyle w Brukseli i Strasburgu, ile z domorosłymi przeciwnikami regionalizacji. Czy poradzi sobie z niekompetentnymi i prymitywnymi jej interpretatorami? To przecież my sami zafundowaliśmy sobie w roku 1999 reformę administracyjno-samorządową całkowicie sprzeczną zarówno ze stanem wiedzy, jak i współczesnymi realiami i potrzebami. To przecież jeszcze dziś w naszej kochanej (coraz mniej) stolicy definiuje się politykę regionalną jako centralny rozdział funduszy między rzekome regiony zastąpione województwami.

Nadal niektórzy nie chcą pojmować polityki regionalnej w kategoriach ustrojowych - jako tworzenia warunków sprzyjających racjonalnemu gospodarowaniu i aktywizacji zwykłych ludzi, budowie społeczeństwa obywatelskiego. Reforma 1999 r. to przecież centralizm połączony z umizgami i koncesjami na rzecz różnych koterii politycznych. Zamiast 8-10 regionów rozumianych jako wspólnoty interesów mniejszych organizmów terytorialnych, na przykład kilku małych województw „gierkowskich”, mamy 16 województw. W imię rzymskiej zasady *divide et impera* ustanowiono w nich dwuwładzę o zdecydowanej przewadze (także liczebnej) urzędu wojewody jako namiestnika władzy centralnej nad urzędem marszałka sejmiku wojewódzkiego. Małe województwa „gierkowskie”, pochoptionie zlikwidowane, mogły się stać samorządowymi subregionami. Komuś jednak wyraźnie przeszkadzały. Niepotrzebnie pozostawiono natomiast aż 2500 małych i słabych gmin i dodatkowo je osłabiono, tworząc 400 powiatów o niejasnych kompetencjach. Twórcy reformy pryncypalnie odrzucili ciekawy pomysł zastąpienia 2500 gmin jako podstawowych jednostek tysiącem gmin-powiatów, odpowiadających liczbie miejscowości o statusie lub

charakterze miasta - lokalnego ośrodka. Nie dotarło do nich to, że do gminy nie chodzi się już pieszo, że zbyt małe gminy nie podolają potrzebom rozwoju infrastruktury sieciowej.

Twórców reformy z roku 1999 zdominował fałszywy i obrażający regionalnych patriotów pogląd, jakoby prawdziwa regionalizacja zagrażała całości i unitarności państwa. A nuż jakiś region chciałby się przyłączyć do Brandenburgii, Kaliningradu czy Łukaszenki. Dla mnie pojęcie unitarności na miłą zalatuje centralizmem i wykracza poza pojęcie jednolitości czy powszechności określonych norm. Pod hasłem unitarności można przemyścić tzw. zglajchszaltowanie, rujnujące samorządność.

Pani Danuta Hübner nie ma więc łatwego zadania. Nie ma bowiem we własnym kraju odpowiedniego zaplecza koncepcyjnego. Jej sugestie reformatorskie wobec własnego kraju będą się zderzać z roszczeniami i pretensjami. Panią komisarz mamy przecież po to, by o nas dbała, nie pytając o szczegóły, i nie nękała żądaniem reform ustrojowych. Na miejscu, w Brukseli, też nie będzie miała łatwego życia - gigantyczna biurokracja, walki o środki i dopłaty z unijnego budżetu, ciągle posądzania o stronniczość i brak dbałości o nasze interesy.

Pani komisarz miała już okazję przekonać się w Sejmie, że najtrudniej będzie jej z rodakami. Nie zazdroścę jej więc posady. Jedyne wyjście z tej niełatwej sytuacji to uporczywa walka o rzeczywistą regionalizację służącą nam wszystkim, odwołującą się do wolności gospodarczej, do samorządności, a coraz rzadziej do budżetu unijnego. Warto pamiętać, że Unia Europejska to przedsięwzięcie długookresowe, obliczone nie na izolację, lecz na otwarcie, nie na gwarancje i ochronę partykularnych interesów, lecz na konkurencję. Trzeba mieć świadomość, że budżet unii raczej będzie redukowany, a nie rozszerzany, że za kilka lat pojawią się nowi członkowie, też reflektujący na dopłaty i subwencje. Zmierzyć „trzeciej drogi” jest nieuchronny i coraz bardziej widoczny. Czy przestaniemy zjeżdżać w rozmaitych rankingach i podolamy wyzwaniom XXI wieku? W każdym razie nie podkładajmy nóg Danucie Hübner!

wiele ponad 1 proc. PKB (ale za to na zakup licencji przeznaczala 8,6 proc. PKB).

POSTĘP BEZ PROGRAMU

Samo otwarcie się na zaawansowany świat, nie wystarczy, aby osiągnąć trwałe gospodarcze przyspieszenie. Przypomnijmy sobie lata 70.: mieliśmy rządowe programy kupowania zagranicznych licencji, ale pozostaliśmy krajem zacofanym, a na dodatek dorobiliśmy się kolosalnych długów. Nie da się z powodzeniem wprowadzić zagranicznych technologii do wrogiego innowacjom ustroju. Dopiero zwrot ku kapitalizmowi po 1989 r. uruchomił w kraju ogromny transfer technologii. Większość pewnie tego nie zauważyła, bo nie proklamowano żadnych oficjalnych programów. Lepiej jest jednak mieć transfer technologii bez takiego programu niż program bez transferu. Po 1989 r. dzięki reformom i otwarciu się na świat polska gospodarka przeobraziła się

Na Węgrzech na milion mieszkańców przypada ponad **45 wniosków patentowych**, w Polsce - tylko sześć

technologicznie. Wzrosła efektywność zużycia energii (pięta achillesowa poprzedniego ustroju), a przy okazji odetchnęło środowisko. Udział maszyn i sprzętu transportowego w eksporcie zwiększył się z 19 proc. w 1992 r. do 38 proc. w 2003 r. Przedsiębiorstwa w Polsce wytwarzają nowe i - generalnie - lepsze produkty.

EFEKTÓWI!

W miarę naszego rozwoju będzie też rosła zapotrzebowanie na rodzime B+R. Tę sferę trzeba szybciej reformować, aby ponoszone nakłady przynosiły więcej wynalazków. Wiele mamy tu do nadrobienia na przykład w porównaniu z Węgrami, liderem B+R w świecie posocjalistycznym. Kraj ten przeznaczal na badania i rozwój niespełna 1 proc. PKB, a z dochodów ze sprzedaży licencji i z tantiem uzyskuje 0,54 proc. PKB. My wydajemy na B+R 0,7 proc. PKB, a z eksportu licencji i z tantiem dostajemy zaledwie 0,02 proc. PKB. W 2002 r. na Węgrzech na milion mieszkańców przypadało ponad 45 wniosków patentowych zgłoszonych do Europejskiego Urzędu Patentowego, w Polsce - tylko 6, czyli prawie osiem razy mniej. Niewielka pociecha, że pozostałe kraje posocjalistyczne osiągają na ogół tylko trochę lepsze od nas wskaźniki. ■